

Franciszek Marek

## Wielokulturowość w edukacji na Śląsku Opolskim

Pierwotny tytuł pracy „Wielokulturowość na Śląsku Opolskim” zakładał omówienie nauczania polskich dzieci języka niemieckiego, kłamliwie nazywanego w dokumentacji polskich szkół publicznych opolskiego regionu „ojczystym językiem niemieckim”. Rozwazałbym wówczas sprawy wchodzące w zakres zainteresowań politologii i socjologii, ale nie mógłbym się szerzej odnieść, jak to zamierzam uczynić, do wyimaginowanej dziś kwestii wielokulturowego, a przy tym także wielonarodowościowego charakteru omawianego regionu, i to w aspekcie historycznym.

W mojej ocenie nie ma już dziś na całym Górnym Śląsku, poza pojedynczymi (jak wszędzie) przypadkami, jakiegokolwiek zwartej grupy mniejszości narodowej, ci zaś etniczni Ślązacy, co dziś niemiecką tożsamość głoszą, stanowią antypolską dywersję polityczną, uprawianą świadomie przez wyrachowanych liderów i nieświadomie przez manipulowanych, a często zastraszonych i przestraszonych szarych członków, zarejestrowanego w sądzie i uznawanego przez państwo (a raczej przez rządzących państwem ignorantów) ruchu.

Niemcy nazywają język ojczysty trafnie *die Muttersprache* (język macierzysty), gdyż człowiek uczy się go od matki, a nie od nauczyciela szkolnego, tymczasem dzieci śląskie, pobierające w polskich szkołach (państwowych!) naukę „ojczystego języka niemieckiego”, przychodząc do szkoły, tego języka nie znają i znać nie mogą, skoro nie władają nim w większości także ich matki, a nawet najstarsi wiekiem liderzy mniejszości niemieckiej kaleczą go tak niemiłosiernie, że aż wstyd przysłuchiwać się ich „niemieckiemu” bełkotowi. Zastanawia mnie, dlaczego przeciętny Polak, jeżdżący na roboty do Niemiec, opanowuje język niemiecki lepiej i prędzej niż ci udający Niemców. Nie wiem, jaka jest tego przyczyna, ale przypuszczam, że Ślązacy mają już dziedzicznie zakodowaną i w wielowiekowej walce zahartowaną obronę swej etnicznie polskiej tożsamości, bez względu na to, czy ją sobie uświadamiają, i są odporni na zewnętrzne wpływy. Na Opolszczyźnie jeszcze podczas wojny mówiło się pogardliwie o takich, którzy z koniunkturalnych względów pozowali na Niemców, że „stroją się w cudze piórka”. Ilekroć słyszę (najczęściej w telewizji) ich fonetyczne i gramatyczne lapsusy,

przypominają mi się słowa, jakie w niemieckiej szkole ludowej (Volksschule) powtarzaliśmy często między sobą gwarą: „Żeby niy to *der, die, das*, to byłiby Nimce z nas”.

Kilkanaście lat temu sprowadzono z RFN na obszar opolskiego kuratorium grupę Niemców, nauczycieli języka niemieckiego, i zatrudniono ich w polskich szkołach. Komiczny charakter przybierały niekiedy ich początkowe kontakty na lekcjach języka niemieckiego z rzekomo niemieckimi uczniami. W Chrościnie Opolskiej siedział na takich lekcjach, przez kilka tygodni, przedstawiciel niemieckiej mniejszości i tłumaczył sprowadzonemu z RFN nauczycielowi na język niemiecki to, co dzieci mówiły po polsku, a dzieciom na język polski to, co nauczyciel mówił po niemiecku. A działo się to na lekcjach „ojczystego języka niemieckiego”. Co wyrośnie z dzieci wychowywanych i kształconych w atmosferze kłamstwa i obłudy?

Kiedy za czasów Bismarckowskiego Kulturkampf u zgermanizowano całokształek szkoły na Śląsku, wyrzucając z nich nawet polską naukę religii, wtedy obowiązek przekazywania dzieciom podstawowych prawd religijnych spoczął wyłącznie na rodzicach i Kościele. Prawie wszyscy kapłani górnośląscy (także kapłani niemieckiego pochodzenia) stanęli wtedy twardo po stronie polskiego ludu, a ks. Norbert Bonczyk, zwany Homerem Górnośląskim, tak określił owe „nowe”, zgermanizowane i germanizujące, szkoły: „Dziwne szkoły, w których się młodź polska przerabia na niemieckie woły”. Wychowanków, którym rodzice nie wpoili podstawowych prawd o ich polskiej i katolickiej tożsamości, ten kapłan też trafnie scharakteryzował: „Takich ojców dzieci, ni to Polacy, ni Niemcy, rzeczywiste śmieci!” („Stary kościół miechowski”). Dziś w państwowych szkołach na Śląsku Opolskim ojczysty język polski uczniów występuje jako „język polski”, a obcy język niemiecki, jako „ojczysty język niemiecki”. Cieszymy się, że przy języku polskim sprzedajne i tchórzliwe władze nie każą jeszcze stawiać określenia: „obcy”. Po właścicielach Trzeciej Rzeczypospolitej wszystkiego się można spodziewać. Ostatnio nadesłano mi artykuł *Mann muss nur wollen* (trzeba tylko chcieć) z „Schlesische Wochenblatt”, w którym germanista prof. E. Klin udzielił wywiadu w sprawie nauki języka niemieckiego w polskich szkołach na Opolszczyźnie. Trudno mi się zgodzić z imperatywnym żądaniem Profesora (*nb.* kolegi ze studiów uniwersyteckich), zawartym w następujących zdaniach: „Czas najwyższy, by młode pokolenie Ślązaków w końcu się nauczyło języka niemieckiego. [...] edukację należałoby zacząć już od przedszkola”. *Cui bono*, Profesorze Klin? Mam urazowy wstręt do przymusu, dlatego stawiam przekorne pytanie: Dlaczego polska szkoła ma na Opolszczyźnie osiągnąć to, czego niemieckiej szkole nie udało się osiągnąć przez blisko trzysta lat (licząc od pierwszych ustaw o obowiązkowym szkolnym, wydanych w 1767 r.)? Dziennikarzowi zaś K. Cholewie, przeprowadzającemu wywiad, na jego utyskiwanie, że „na Śląsku Opolskim znajomość niemieckiego ciągle nie jest powszechna, odpowiadam pytaniem: A czemuż to znajomość języka niemieckiego ma być na Śląsku Opol-



skim powszechna pod władzą polską, skoro nigdy nie była powszechna pod władzą niemiecką? Oczywiście wiem, że polska szkoła, choćby tylko z tej racji, iż jest szkołą ojczystą, a nie obcą, może osiągnąć to, czego niemieckiej szkole osiągnąć się nie udało, ale w czyim interesie ma to czynić? Mogę sobie wyobrazić polityczny skandal, do jakiego doszłoby niechybnie we Francji, gdyby któryś z tamtejszych profesorów zaproponował upowszechnienie języka niemieckiego w Alzacji, choć dla wielu mieszkańców tego regionu jest on rzeczywiście językiem ojczystym, o czym miałem okazję niedawno się przekonać osobiście. A jak zareagowaliby Niemcy na propozycję upowszechnienia np. w Zagłębiu Ruhry języka polskiego, bądź w jakimkolwiek innym regionie języka rosyjskiego?

Nie jestem przeciwnikiem nauczania języka niemieckiego na Śląsku. Uważam, że dobra znajomość języka niemieckiego powinna być dla wykształconych Górnoszlązaków sprawą ambicji i honoru. Sprzeciwiam się natomiast kategorycznie czynieniu z nauki tego języka politycznej demonstracji, mającej na celu antagonizowanie mieszkańców Opolszczyzny już wśród dzieci szkolnych, a także obrażanie narodu polskiego i szkodenie polskiej ojczyźnie.

Muszę jednak zarazem przyznać, że nauczanie języka niemieckiego nigdy dotąd nie przebiegało na Śląsku normalnie. Niemcy narzucali go Ślązakom przymusowo. Za Fryderyka II wydano nawet dekret, wymagający znajomości języka niemieckiego od kandydatów do stanu małżeńskiego oraz od chłopców pełnoletnich, mających odziedziczyć gospodarstwa ojcowskie. To zapewne te i późniejsze, z okresu Kulturkampf, zabiegi germanizacyjne sprawiły, że Colmar Grünhagen, najdociękliwszy dotąd niemiecki badacz i znawca dziejów Śląska, w swym wiekopomnym dziele *Geschichte Schlesiens* wyznał otwarcie, że dzieje Śląska są dziejami germanizacji tej dzielnicy.

Niestety, Polacy też poprawnej polityki wobec nauczania języka niemieckiego nie prowadzili. W pierwszych latach powojennych zabronili jego nauczania na opolskiej części Górnego Śląska w dziennych szkołach podstawowych i średnich, a pozostawili jego naukę tylko w szkołach wieczorowych dla dorosłych i uczelniach akademickich. Uważam jednak za stosowne przypomnieć, że bez ograniczeń naukę języka niemieckiego prowadziła już wtedy polska wszechnica radiowa. Dlatego tym wszystkim, którzy zwłaszcza w rozmowach z politykami i dziennikarzami RFN przedstawiają sprawę powojennego ograniczenia nauki języka niemieckiego jako wyraz rzekomego brutalnego postępowania władz polskich, odpowiedziałbym chętnie tak: Przecież wielu z was należało wtedy do owych polskich władz i w pełni aprobowano, a nawet inspirowano takie postępowanie. A swoją drogą, my, Polacy śląscy, bylibyśmy wdzięczni Niemcom, gdybyśmy mieli takie możliwości nauki języka ojczystego za ich panowania na Śląsku, jakie niedemokratyczne władze polskie, podporządkowane dyktatorowi Moskwy, stworzyły tuż po wojnie dla nauki języka niemieckiego.

Każda niewłaściwa polityka kulturowa, przeprowadzona w stosunku do języka ojczystego, sprawia, że lud przeciwstawia się jej gwałtownie i przeważnie niewłaściwie. Broniąc bowiem dyskryminowanego języka ojczystego, równocześnie pogardza narzuconym mu językiem obcym. Dwa pejoratywne określenia języka niemieckiego zapamiętałem z dziecięcych lat. Najstarsi ludzie nazywali go „austriacką godką”, a młodszy „szwabskim szwargotem”. Nasze starki (po wszemu: babcie) mawiały do nas za niemieckich czasów, oczywiście gwarą: „Jak scecie rzondzić po niemiecku, to musicie na srogim mrozie jenzyk przycisnąć do plompy przy studnie” („rządzić” znaczy w gwarze opolskiej „mówić”). Rodzice bardziej wykształceni, zachęcając do nauki języka niemieckiego, posługiwali się też argumentacją niewłaściwą, gdyż wbijali nam do głowy, że „język naszych wrogów należy znać dobrze, jak język ojczysty”.

Dobra znajomość języka ojczystego jest nam Ślązakom potrzebna nie tylko ze względu na nasze sąsiedztwo, a często i powinowactwo z Niemcami, lecz głównie dlatego, że z tym językiem związana jest duża część naszej rodzimej historii i kultury.

Jeśli chodzi o obronę języka ojczystego, ograniczę się do następującego stwierdzenia: tylko osoby zdemoralizowane wyrzekają się tej świętości. Nasi ojcowie i praojcowie uważali religie i narodowość za dary Boskie, a tym samym za wartości przynależne i chronione prawem przyrodzonym. Wyrzeczenie się tych wartości było równoznaczne ze wzgardzeniem darami Boskimi i uchodziło za świętokradztwo. Historyka zdumiewa, że język polski, przekazywany z pokolenia na pokolenie, przetrwał na Śląsku ponad 600 lat niewoli narodowej, choć był nieustannie ośmieszany, zakazywany i zwalczany. Zaiste, wielka jest siła tego języka, a jeszcze większa miłość do niego śląskiego ludu, zwłaszcza gdy uwzględnimy, że posługują się nim na co dzień także liderzy mniejszości niemieckiej. Przypomnę w tym miejscu, że zganił ich za to minister H. Waffenschmied, wtrącając się bezprawnie i bezkarnie w wewnętrzne sprawy naszego państwa, podczas swej wizyty w Gogolinie, kilka lat temu. W mojej ocenie posługiwanie się mową ojczystą dobrze świadczy o liderach mniejszości niemieckiej, gdyż dowodzi, że nie ukrywają oni swej odziedziczonej po przodkach polskiej tożsamości. Kiedyś w jednym z gogolińskich sklepów zamierzałem serdecznie uścisnąć, nierozpoznanego w pierwszej chwili, Jana Króla vel Johanna Krolla, twórcę mniejszości niemieckiej na Śląsku, gdy usłyszałem jego piękną i dostojną polszczyznę gwarową. Pomyślałem wtedy: takiej polszczyzny nigdy żadna polska szkoła, ani tym bardziej szkoła niemiecka, nie nauczyły i właśnie to jest jego mowa macierzysta, a nie wyuczony w szkole i pogłębiony potem w Wehrmachcie język niemiecki, nazywany dziś przez wielu zdemoralizowanych Ślązaków kłamliwie *unsere Muttersprache*.

Katastrofalna sytuacja gospodarcza kraju, a zwłaszcza nieustannie narastające bezrobocie, sprawia, że posiadanie niemieckiego paszportu (obywatelstwa) staje się coraz bardziej opłacalne, gdyż daje możliwość zatrudnienia, nie tylko



w Niemczech, lecz także na terenie pozostałych krajów Unii Europejskiej. Stwarza ono jednak zarazem i kuriozalną, jedynie w Polsce możliwą, sytuację: Podwójne obywatelstwo, mimo iż niezgodne z obowiązującymi u nas prawami, jest zarazem tolerowane przez właścicieli Trzeciej Rzeczypospolitej. I nie ma się czemu dziwić, skoro (jak podały źródki przekazu) nawet w Ministerstwie Obrony Narodowej pracował jeden dyrektor departamentu posiadający aż cztery różne paszporty, a wiceministrem był obywatel obcego państwa. Doprawdy nie wiem, czy mężowie stanu, którzy tworzą i tolerują tego typu (najdelikatniej mówiąc) anachronizmy, są ludźmi zdemoralizowanymi i sprzedajnymi, czy tylko krótkowzrocznymi i naiwnymi. Wyznaję, że bliżsi mi są ci pierwsi, gdyż jako człowiek wierzący wiem, że nawet największy grzesznik może się nawrócić, a na głupotę, zwłaszcza polityczną, lekarstwa dotąd nie wynaleziono.

Paszporty niemieckie, o których posiadanie także coraz więcej obywateli nieśląskiego, zwłaszcza kresowego, pochodzenia zabiega, i to z pozytywnym skutkiem, już dają się nam we znaki, a na przyszłość nic dobrego nie wróżą. W Niemczech pracuje, a przeważnie i mieszka na stałe, kilkadziesiąt tysięcy inżynierów i lekarzy wykształconych za darmo (na koszt narodu) w Polsce. Można z dużym prawdopodobieństwem twierdzić, że biedna Polska podarowała bogatej RFN co najmniej jedną akademię medyczną i jedną politechnikę. Wiadomo też, że już ponad sto tysięcy mieszkańców województwa opolskiego pracuje w RFN. Ludzie ci zmniejszają wprawdzie wskaźnik bezrobocia u nas, ale podatki płacą w Niemczech. Są więc bardzo tanimi w RFN pracownikami, zwłaszcza że ich dzieci, uczęszczające do przedszkoli i szkół w Polsce, obciążają budżet polskiego, a nie niemieckiego państwa. Republika Federalna Niemiec przyznaje dwupaszportowcom coraz więcej uprawnień i w ten sposób, małymi krokami, przyczynia się do rozsadzania Polski od wewnątrz. Prawie wszyscy dwupaszportowi poborowi unikają w Polsce służby wojskowej. Ostatnio przyznano także prawo udziału w wyborach do Bundestagu tym dwupaszportowcom, którzy przez trzy miesiące mieszkali (byli zameldowani) w RFN.

Polacy są dziwnym narodem. Wiedzą, czym jest brak własnego państwa, i potrafią o takie państwo ofiarnie walczyć przeciwko obcej przemocy, lecz szanować i bronić posiadanego państwa nie potrafią. Powszechnie znane są słowa Kochanowskiego „o nierządnym królestwie i zginienia bliskim, gdzie ani prawa waży, ani sprawiedliwość ma miejsce, ale wszystko złotem kupić trzeba”, zwłaszcza że można je odnieść także do Trzeciej Rzeczypospolitej, ale jeszcze bardziej do dzisiejszej rzeczywistości pasują starsze, liczące już 500 lat słowa M. Reja: „Rzeczypospolitą nago na wozie malują, ano bo rozliczni ludzie różnie ją szacują. Jedni ciągną na prawo, a na lewo drudzy, wszakże niezgodni tam zawždy u tej paniej służy. A kto temu nie wierzy, przypatrz się do tego, gdy się dziwujesz sprawom sejmu chwalebneho. Uźrżysz jakoć okrutnie ta nędzica wrzeszczy, co ją tak rozciągają, aż jej skóra trzeszczy”. Słowa Kochanowskiego

i Reja mają jednak wyłącznie wywoływać zdziwienie, że nie stały się przestrożą dla narodu, natomiast słowa, jakie w XVII wieku wypowiedział Maciej Sarmbiewski, przerażają, gdyż dowodzą zarazem, że historia nic Polaków nie nauczyła: Polacy „nawet ojczyznę swoją kochają dopiero wtedy, gdy są z dala od niej, a będąc na miejscu, nie cierpią jej, jakby po to wyjeżdżali za granicę, aby ją pokochać, a wracali aby znienawidzić”.

Brak czujności, lub mądrości narodowej, sprawia, że nie dostrzegamy nawet najbardziej jawnej, a przy tym prymitywnej polityki antypolskiej, uprawianej przez wrogie nam siły zewnętrzne i wewnętrzne. Już nie mierzi, ale śmieszy, wymachiwanie sztandarami integracji, uniwersalizmu, globalizmu i europeizacji wtedy, gdy chce się osłabić lub wymazać polskie akcenty narodowe i państwowe, a w innych okolicznościach szafuje się hasłami decentralizacji i regionalizacji (a więc dążeniami przeciwstawnymi integracji, europeizacji i globalizacji), gdy chce się osiągnąć takie same, tj. również antypolskie, cele.

Znamienne, że największymi zwolennikami regionalizacji państw, wszystkich tylko nie niemieckich, są Niemcy, a więc ci, którzy też najgłośniej opowiadają się za rozszerzeniem Unii Europejskiej. Coraz więcej naukowców na Zachodzie zarzuca im wzniecanie niepokojów w wielu państwach, w tym zwłaszcza na obszarze byłej Jugosławii. Oczywiście, materiał zapalny istniał na Bałkanach od niepamiętnych czasów, ale iskra, która wznieciła straszny w swych skutkach pożar, przysłała tam z zewnątrz i zdaniem wielu obserwatorów podłożyli ją Niemcy. Nie znam sprawy dokładnie, ale wiem, że rozruchy w Jugosławii zaczęły się od secesji Chorwacji i że RFN jako pierwsza uznała niepodległość tego państwa, niemal nazajutrz po proklamacji, a więc zbyt wcześnie. Rozpad Czechosłowacji był też wspierany przez wielu niemieckich polityków, a nie mam najmniejszej wątpliwości, że rozruchy na miarę jugosłowiańskich przygotowywano także na Śląsku Opolskim. Wymieńmy tylko kilka przemawiających za tym faktów: Przez pełne dwa tygodnie powiewała bezkarnie w Dziewkowicach hitlerowska flaga (ze swastyką); na Opolszczyźnie ulokowało się kilka redakcji antypolskich czasopism, jawnie neofaszystowskich; bezprawnie wzniesiono też 60 pomników wehrmachtowskich, z emblematami i napisami obrażającymi godność narodu polskiego, a pośrednio znieważającymi także pamięć ofiar; w korowodzie na wojewódzkich dożynkach na Górze Św. Anny brały udział wozy nie ze staroniemieckimi, lecz hitlerowskimi nazwami miejscowości; w tymże korowodzie, defilującym przed polskimi (!?) władzami województwa, były inscenizowane znieważające naród polski; prowadzono np. kozę z napisem „Polska krowa”, itp., etc., szczytem politycznej prowokacji był antypolski wiec na Górze Św. Anny w maju 1991 roku, zorganizowany przy dużym dofinansowaniu przez polskie (!?) ministerstwo kultury w Warszawie. Przewodził mu Hubert Hupka, wodzirej „wypędzonych” (oczywiście przez Polaków”) Niemców ze Śląska. Były antypolskie przemówienia, hasła i ulotki, a wszystko odbywało się pod imponderabiliami RFN.



Ciężko jest Ślązakowi być dzisiaj Polakiem na Śląsku Opolskim, zwłaszcza na swojej ojcowiznie, pod polskimi władzami państwowymi. Dawniej ujawnianie przez Ślązaków swej polskości było czymś nagannym, a w czasach nazizmu nawet przestępczym, natomiast dziś staje się czymś wstydliwym. Co ma dzisiejsza Polska do zaferowania Ślązakom? Obydwie wojny światowe, wraz z powojennym szabrem oraz sowieckimi demontażami, nie zdewastowały gospodarki Śląska Opolskiego tak katastrofalnie, jak uczyniły to władze Trzeciej Rzeczypospolitej.

W odniesieniu do antypolskich prowokacji politycznych, wymienionych i innych, których nie wymieniłem, to nie ma wątpliwości, że miały one na celu wzniesienie ostrych, a może nawet krwawych rozruchów na Śląsku. Jeżeli do takich nie doszło, to tylko dlatego, że tym razem, wyjątkowo, polska głupota polityczna i polska niefrasobliwość zadziałały obronnie. Po prostu, dzięki temu, że Polacy nie stawili najmniejszego oporu i ogólnie nie zareagowali na te ekscesy, a wręcz przeciwnie, popatrzyli na nie jak na maskaradę lub widowisko cyrkowe z udziałem komediantów i kłownów, to niemieckie uderzenie trafiło w próżnię. Pusty śmiech mnie jednak ogarnia, gdy słyszę dziś niemal identyczne pienia, zarówno cynicznych liderów mniejszości niemieckiej, jak również infantylnych przedstawicieli polskich władz, rzekomo sielankowej idylli, w jakiej żyją Polacy i Niemcy na Opolszczyźnie. Dla tych Polaków, którym znane są wydarzenia, jakie rozegrały się w okresie przedwojennym i wojennym na katowickiej części Górnego Śląska, to co dzieje się na Opolszczyźnie, nie może nie budzić niepokoju i lęku o przyszłość naszych dzieci i wnuków, gdyż jest bardzo czytelną powtórką z historii. Żyliśmy z sąsiadami od wielu pokoleń w najlepszej zgodzie, współpracy i przyjaźni dopóty, dopóki nie wyrzekli się oni swej etnicznej tożsamości i nie wstąpili do Volksbundu. Odtąd bowiem przestali do nas przychodzić, przestali się do nas odzywać, a nawet przestali odpowiadać na nasze pozdrowienie, gdyż nowa religia im tego zabraniała. A to, jak zachowali się po klęsce wrześniowej, w latach hitlerowskich, i dlaczego tak się zachowali, jest dla nas do dziś niezrozumiałe, mimo że spoglądamy na ówczesne wydarzenia już z odległej perspektywy historycznej.

Pierwszy z podobnych etapów przepoczwarzania się wielu naszych dzisiejszych sąsiadów na Opolszczyźnie już się dokonał i trwa, a na drugi nie ma na razie sprzyjających okoliczności i oby ich nigdy nie było, ale pamiętajmy, że nic na tym świecie nie trwa wiecznie. Po doznanych przez nas zniewagach pozostały bolesne urazy, które za żyjących obecnie pokoleń zapomniane nie będą, zwłaszcza że postrzegamy równocześnie, jak w miarę narastania polskiej łatwości i indolencji, a często wprawdzie naiwnej, lecz rzeczywiście szczerzej chęci przyjaznego współżycia, współgospodarowania i współrzędzenia, strona niemiecka wysuwa coraz większe żądania, i to w coraz bardziej agresywny sposób. Niemieckojęzyczne czasopisma, wydawane w Polsce przy dofinansowaniu z polskiego budżetu, aż roją się od antypolskich akcentów. Głos polskich Ślązaków nie ma dostępu do polskich środków przekazu. Polskiemu umiłowaniu oj-

czynny przeciwstawia się miłość do regionu, w domyśle: do niemieckiego *Heimatu*. A jak bardzo jest to sprawa nam obca, o tym świadczy m.in. nawet to, że słowa *Heimat* nie ma ani w polszczyźnie literackiej, ani w śląskich gwarach. Zarówno „ojcowizna” jak też „ziemia rodzinna” mają inne znaczenie niż *Heimat*, który tłumaczy się ostatnio na „małą ojczyznę”. Kto uważa, że przeceniam groźbę regionalizacji, niech zastanowi się nad tym, dlaczego Niemcy u siebie jej nie przeprowadzają, a wręcz przeciwnie, od czasów wojny prusko-francuskiej w 1870/71 r. systematycznie i nieustannie się jednoczą. Przecież jeszcze wcale nie tak dawno wśród dzisiejszych Landów były aż cztery królestwa, było także kilkanaście księstw i kilka wolnych miast hanzeatyckich, a dziś owe Landy, w tym także dawne królestwa, upodabniają się coraz bardziej do naszych województw. I jeszcze jedna przestroga dla Polaków: Gdyby nasi politycy znali dzieje ojczyste, to wiedzieliby, że w epoce poprzedzającej likwidację państwa polskiego nie tylko wymuszono redukcję naszej armii do 35 tysięcy żołnierzy i ograniczono nasz przemysł zbrojeniowy (podobnie jak dzisiaj), ale już wtedy instytucji państwa przeciwstawiano regiony. Targowiczanie Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, zachwycał się rewolucją francuską, gdyż wierzył, że obaliła ona państwo, które jako takie było w jego mniemaniu ostoją tyranii. Inny Rzewuski, Adam Wawrzyniec, upowszechniał wizję zastąpienia „trzydziestu rozległych monarchii, które teraz świat dzieląc, kłóca go i szarpią”, trzystu regionalnymi Rzeczpospolitymi. Zresztą, wielcy magnaci mieli swoje „małe ojczyzny”, zamknięte w granicach powiatu czy ziemi, i państwa nie szanowali. Zrozumiały stają się w tej sytuacji petycje, jakimi targowiczanie zanudzali carycę Katarzynę, proponując jej patronat nad federacją wolnych republik, które „mogą obejść się bez państw i króla-tyrana”.

Przepraszam za te dygresje, ale uznałem je za niezbędne dla dalszego toku mojego rozumowania, zwłaszcza że na śląskim odcinku sprawy politycznych manipulacji rysują się najbardziej czytelnie i nie oszczędzają nawet domów bożych, jakimi są kościoły. Ograniczę się do jednej, następującej sprawy: Nawet w wartościowych skądinąd homiliach słyszę np. o „wybitnych Ślązakach” i „świątłych Europejczykach”, jakimi byli rzekomo Odrowążowie, a zwłaszcza św. Jacek. Niby to kłamstwa nie ma w takich określeniach, ale pełnej, najważniejszej prawdy też nie ma. Odrowążowie byli bowiem zarówno wiernymi synami kościoła, jak też gorącymi patriotami polskimi. Biskup Iwo Odrowąż już jako student Bolonii nie wstąpił, wzorem Polaków z Małopolski, Wielkopolski i Mazowsza, do nacji germańskiej, lecz założył pierwszą na uniwersytetach nację polską i został jej przewodniczącym. Jego kanonikiem był Wincenty z opolskiej Kielczy, nazywany już coraz rzadziej błędnie „Wincentym z Kielc”, pierwszy polski poeta i kompozytor, m.in. autor patriotycznej sekwencji na cześć biskupa Stanisława, która stała się najstarszym hymnem Polski, starszym o 200 lat od *Bogurodzicy*, a zaczynającym się słowami „Ciesz się Matko-Polsko, urodzajna synami szlachetnymi” (*Gaude mater Polonia prole fecunda nobili...*). Papież



Klemens VIII kanonizował w 1594 roku, a więc w czasach kiedy Śląsk należał do katolickiej Austrii, błg. Jacka, nie jako Europejczyka, czy bezpaństwowca, lecz jako Polaka. W jego akcie kanonizacyjnym czytamy m.in.: „Urodził się bł. Jacek w Polsce [...] ogłaszamy, że błogosławionej pamięci Jacek, Polak z Zakonu Kaznodziejskiego jest święty...”. To dzięki Odrowążom mówiło się w Krakowie *Lux ex Silesia* (Światło ze Śląska).

Wzmianką o Odrowążach wkroczyłem na obszar kultury polskiej.

Historyk Henryk Barycz, wnikliwy badacz i znawca dziejów tej kultury, zauważył, że każdy region polski wniósł coś trwałego w dzieło budowy naszego państwa: „Można powiedzieć, że jeśli Wielkopolska dała narodowi organizację państwową, Małopolska język literacki, a Mazowsze pierwszorzędny, prężny żywioł kolonizatorsko-pionierski, to Śląsk — wyższe formy życia cywilizacyjnego i wielki wkład pracy duchowej...” Czy w edukacji na Śląsku o tym się mówi? W programach i podręcznikach szkolnych w całej Polsce o tym głucho, a tylko od wiedzy i dobrej woli nauczycieli zależy, czy uczniowie poznają te sprawy.

Jeżeli wielokulturowość ma być przedmiotem edukacji, to najpierw trzeba wiedzieć, jaka ona jest. Obawiam się i mam tego dowody, że w odniesieniu do Śląska panuje w Polsce na tym odcinku kompletna niewiedza. Ilu jest ludzi, nawet wśród naukowców, którzy wiedzą, jakie relacje zachodzą między tymi kulturami, które na przestrzeni ponad tysiącletnich dziejów zetknęły się ze sobą na Śląsku? A były to następujące kultury: polska, czeska, niemiecka, morawska, łacińska, żydowska. Dziś na płaszczyźnie rozgrywek politycznych mówi się także o kulturze śląskiej, w tym nawet o rzekomym istnieniu śląskiego języka i śląskiej narodowości. Dla rozbijania jedności państwa i narodu wszelkie chwytły uważa się za stosowne.

Dwa obszary językowe — język ludu i pieśni ludowe — są głównymi wyznacznikami narodowości. Hrabia Hoym, minister Prowincji Śląskiej, w raporcie opracowanym dla króla pruskiego pod koniec XVIII wieku, napisał o obszarach, które nieco później podzieliły się na trzy regencje — legnicką, wrocławską i opolską — że pierwszy z nich jest w większości niemieckojęzyczny, drugi (łącznie z Wrocławiem) jest w połowie polski i w połowie niemiecki, natomiast trzeci, obejmujący Górny Śląsk, jest w całości polski: „Gemieniglich sind die beurlaubten Soldaten die einzigen Einwohner der oberschlesischen Dörfer, die etwas deutsch sprechen (powszechnie urlopowani żołnierze są jedynymi mieszkańcami górnośląskich wiosek, którzy mówią trochę po niemiecku)”.

Śląsk pierwotnie należał do Czech (wcześniej do Księstwa Wielkomorawskiego), został sto lat przed Polską schryścianizowany (w obrządku słowiańskim), ale żadna kultura czeska na jego obszarze nie wyrosła. W organizm państwa polskiego Śląsk został włączony w roku 966, i to przy pomocy sojuszników niemieckich (cesarskich). Mało kto wie, że polska świadomość narodowa, zwłaszcza na Śląsku, kształtowała się w średniowieczu nie w kon-

flikcie z Niemcami, lecz w konflikcie z Czechami, o czym głośno w *Kronice* Galla Anonima. Już choćby z tego powodu nie mogła zakwitnąć na Śląsku kultura czeska. Faktycznie jej ślady występują wyłącznie w kilku wioskach etnicznie czeskich koło Raciborza i w Kotlinie Kłodzkiej. W średniowiecznym piśmiennictwie polskim, nie tylko na Śląsku, mamy wpływy ortografii czeskiej, co jest zrozumiałe, gdy się uwzględni, że w języku czeskim zaczęto pisać sto lat wcześniej niż w języku polskim.

Znamienne, że wśród ponad 60 000 śląskich pieśni ludowych (łącznie z wariantami) są bodaj cztery pieśni pochodzenia czeskiego, natomiast nie ma ani jednej pieśni niemieckiej. Zauważmy też, że na polu zbieractwa tych pieśni najbardziej zasłużył się niemiecki lekarz Julius Roger, który zebrał i wydał w 1863 r. 546 śląskich (tj. polskich) pieśni ludowych. O języku tych pieśni Roger napisał: „Co do języka pieśni: uważny czytelnik przekona się, jak niedorzecznym jest przesąd dosyć rozpowszechniony, mowę Górnoszlązaków ogłaszający zepsutym dialektem języka polskiego. Bo lubo liczne germanizmy wciśnęły się do górnoszląskiej polszczyzny, a w niektórych okolicach, gdzie polszczyzna od dawna styka się z czeszczyną, wpływ języka czeskiego mocno czuć się daje: z tym wszystkim jednak mowa polskich Górnoszlązaków w ogóle jest tym samym językiem, jakim mówi lud polski poza krańcami Górnego Szląska”.

W etnicznej kulturze niemieckiej na Śląsku możemy mówić tylko w odniesieniu do Dolnego Śląska, a i to z pewnymi zastrzeżeniami. W średniowieczu właśnie Dolny Śląsk był czołem polskiej kultury duchowej. To w tej dzielnicy zapisano pierwsze zdanie w języku polskim, w *Księdze henrykowskiej* pochodzącej z XIII wieku. Co więcej, Polska weszła do kultury europejskiej też głównie dzięki tej dzielnicy, a personalnie dzięki Vitelonowi, jednemu z kilku najwybitniejszych uczonych średniowiecznych, twórcy optyki. Na Dolnym Śląsku, w Kłodzku, powstał w XIV wieku słynny *Psalterz floriański*, najcenniejszy zabytek piśmiennictwa polskiego, a z Wrocławia pochodzą najstarsze druki w języku polskim, tłoczone przez Kaspra Elyana, rodem z Głogowa. Ten drukarz i dwie całe rodziny drukarzy dolnośląskich, Wietorowie i Szarffenbergowie z Lubomierza, stworzyli polskie drukarstwo narodowe w stolicy Polski, Krakowie.

Przed założeniem Uniwersytetu Krakowskiego w 1364 roku najwyższą uczelnią w Polsce była wrocławska szkoła katedralna, posiadająca akademicką nadbudowę z katedrą teologii. Biskupstwo wrocławskie posiadało najwięcej w Polsce kapłanów ze stopniami magisterskimi i doktorskimi, a więc absolwentów najstarszych uniwersytetów. Nawet pierwszy w środkowej Europie (łącznie z Austrią i Niemcami) uniwersytet próbowano założyć już w 1308 roku na Dolnym Śląsku, w Legnicy, a śląscy uczeni odegrali przewodnią rolę w organizacji i odnowieniu Uniwersytetu Krakowskiego.

Powszechnie wiadomo, że w XVI wieku powstały wielkie literatury narodowe we Włoszech, Francji, Anglii, Hiszpanii i Polsce (reprezentowane m.in.



przez takich poetów, jak: Dante, Ronsard, Szekspir, Lope de Vega i Kochanowski), a w Niemczech nadal królowała w tym czasie łacina, choć Biblia w przekładzie Marcina Lutera położyła mocny fundament pod zbudowanie ogólnoniemieckiego języka i piśmiennictwa narodowego. Dopiero ukazanie w 1624 roku książki śląskiego poety Martina Opitza z Bolesławca, zatytułowanej *Buch von der deutschen Poetherey*, sprawiło, że zakwitła w Niemczech literatura niemieckojęzyczna: już nie renesansowa, lecz barokowa. Do śląskiej szkoły poetyckiej niemieckiego baroku należeli, oprócz M. Opitza, tacy poeci, jak: Friedrich z Logau, Angelus Silesius, Johann Christian Guenther, Paul Fleming, Simon Dach, Daniel Czepko i Andreas Gryphius. Odnotujmy też, że najwybitniejszych z nich łączył liczne związki z Polską: Ojciec Angelusa Silesiusa był polskim szlachcicem z Borwicz pod Krakowem, Opitz został sekretarzem króla Władysława IV i zmarł w Polsce, a w twórczości Gryphiusa występuje sporo patriotycznych akcentów polskich, w tym zwłaszcza kult królewskiej dynastii Piastów.

Znamienne, że w tym samym XVI wieku napłynęło na Śląsk sporo niemieckich pastorów dla objęcia stanowisk proboszczów i rektorów (nauczycieli-kierowników szkół) w parafiach ewangelickich. Większość z nich już wcześniej przyswoiła sobie znajomość języka polskiego, przysposabiając się tym do pracy z polskim ludem. Pastorzy owi stali się na przełomie XVII i XVIII wieku głównymi obrońcami rodzimej, tj. polskiej, kultury na Śląsku, a wielu z nich stało się, pod wpływem miłości do języka polskiego, nawet gorącymi patriotami polskimi — w ocenie Ogrodzińskiego równocześnie Polakami i Niemcami, w jednej osobie. W każdym bądź razie, począwszy od XVII wieku występuje w piśmiennictwie śląskim pewien dualizm: równolegle z niemieckojęzyczną literaturą wysokiego lotu, nastawioną na odbiorcę arystokratycznego i wykształconego, rozwija się polskojęzyczna literatura użytkowa (niższego lotu), przeznaczona dla ludu. Pierwszą tworzą wybitni pisarze niemieckiego pochodzenia, np. K. Holtei, J. Eichendorff i G. Hauptmann, albo zniemczeni Ślązacy typu G. Freytaga, a drugą tworzą najpierw zżyci z ludem pastory niemieccy, a następnie także pisarze miejscowego (ludowego) pochodzenia, głównie nauczyciele i księża, np. J. Lompa, P. Stalmach, K. Damrot i N. Bonczyk. Trzeba się zgodzić z twierdzeniem, że obydwie te literatury nie mają ze sobą „wspólnego współbrzmienia”, jak to trafnie zauważył Arno Lubos, niemiecki znawca i Ślązak z pochodzenia, w swej *Geschichte der Literatur Schlesiens*, ale tę trafną jego ocenę można odnieść tylko do artystycznych walorów analizowanej twórczości, a nie do jej wymowy ideowej. Śląskie dzieła i arcydzieła niemieckiej literatury są tworem elit, przeznaczonym dla elit i stanowiącym strawę duchową panującej mniejszości, przeważnie napływowego pochodzenia, natomiast polska twórczość, obejmująca głównie elementarze, poradniki gospodarcze, modlitewniki, kancjonały, kazania i żywoty świętych, przeznaczona była dla polskiego ludu, mającego na Śląsku rodzimy (autochtoniczny) charakter. Gerhard Hauptmann, pochodzący z bardzo biednych wyrobników niemieckich, którzy osiedlili się w okolicach Jeleniej

Góry dla nędznego kawałka chleba, okupionego katorżniczą pracą w przemyśle tkackim, rozstawił imię Śląska dzięki Nagrodzie Nobla, przyznaną mu za wstrząsający dramat *Die Weber* (Tkacze). Józef Lompa, skromny nauczyciel, pochodzący z ludu górnośląskiego (wtedy jeszcze niemal w całości polskiego), pisał dla tegoż ludu popularne książeczki, którymi handlowano na jarmarkach, straganach i odpustach. Możemy śmiało powiedzieć, że dał książkę ludowi, który do tej pory żadnej książki nie czytał, a jeśli czytał jakąś, to był nią jedynie modlitewnik. Nie porównujemy więc rzeczy (zjawisk) do siebie nie przystających, ale oceniamy właściwie ich ideową wymowę. To, że Mickiewicz napisał *Pana Tadeusza* w Paryżu, nie świadczy o polskości literatury francuskiej, tak jak nawet największe powstałe na Śląsku dzieła niemieckie nie mogą świadczyć o etnicznym charakterze kultury tego regionu. Bliska mi jest kultura niemiecka, choć wyniosłem jej znajomość z obowiązkowej (przymusowej) szkoły okupacyjnej, ale jej wielkość nie może i nie jest w stanie przyćmić wyniesionej z domu rodzinnego kultury polskiej, mającej na Śląsku charakter etniczny.

### Literatura:

- H. Barycz, *Śląsk w polskiej kulturze umysłowej*, Katowice 1979.  
A.M. Kosler, *Die preussische Volksschulpolitik in Oberschlesien*, Breslau 1929.  
F.A. Marek, *Godność, dostojęstwo i posłannictwo Uniwersytetu*, Opole 1995.  
F.A. Marek, *Nieznane sąsiedztwo — Die unbekannte Nachbarschaft*, Opole 1992.  
Z. Zielonka, *Śląsk — ogniwo tradycji*, Katowice 1981.

